

lipiec 2013

Gdańsk

Tomasz jeździł z wózkiem po opustoszałym supermarkecie. Sprawdzał etykiety. Wiele produktów już dawno nie nadawało się do spożycia, bo pokrywała je biało-zielona pleśń i robaki. Jedynie pasteryzowane napoje, konserwy, alkohol, papierosy, zgrzewki zapalniczek wkładał do kosza bez zastanowienia i, rzecz jasna, nie zwracał uwagi na ceny. Przy kasach od miesięcy nie było kasjerek, a pieniądze zdewaluowały się w takim stopniu, że równie dobrze można było robić ognisko z zeszłorocznego "Playboya", jak z banknotów stułotowych.

Prawdę mówiąc, "Playboy" palił się nawet gorzej.

Takie zakupy robił średnio raz w tygodniu. Zawsze tak samo, gdy spakował towar do dwóch dużych reklamówek, wychodził na ulicę przez rozbite okno.

Miasto było kompletnie opustoszałe, zastygłe jak na stop-klatce, milczące i martwe. Samochody pozostawione na skrzyżowaniach, zwłoki ludzi i zwierząt, chodniki i trawniki pokrywała kilkumilimetrowa warstwa "śniegu".

Co tydzień, kiedy wracał ze sklepu, patrzył pod nogi i rozglądał się dookoła, szukając śladów stóp, innych niż jego własne - od trzech miesięcy, nieskutecznie.

Wreszcie dotarł na swoje osiedle. Wdrapał się na piąte piętro schodami, bo windy nie funkcjonowały z braku prądu, i nieludzko zziębnięty wszedł do mieszkania. Rzucił siatki na stół w kuchni i zdjął z twarzy chustę.

- Toffi - zawołał, wyciągając z reklamówki psią karmę. - Toffi!

Rozejrzał się po podłodze, szukając małego, czarno-białego buldożka francuskiego.

- Kurwa! - krzyknął. - O nie! Kurwa!

Piesek leżał pod stołem, na boku, z wywalonym języczkiem i otwartymi oczami. Nie ruszał się już.

Mężczyzna podniósł psiaka z podłogi i łączył, w jednej chwili, stanęły mu w oczach.

Toffi był bardzo pociesznym, pełnym życia i nadzwyczaj inteligentnym zwierzakiem. Spoglądał swojemu panu zawsze głęboko w oczy, słuchał i zdawał się rozumieć każde słowo.

Teraz był tak martwy, jak wszystko dookoła. Ostatni przyjaciel odszedł i nastąpiła piszcząca cisza, głębsza niż grób.

Dopiero pod wieczór, po wypiciu butelki whisky, pogodził się ze stratą. Innego wyjścia przecież nie miał. Nie miał też wyjścia, kiedy trzy lata wcześniej, zginęła jego żona i pięcioletnia córka w potwornym wypadku samochodowym. To stało się jeszcze przed wojną, tym Armagedonem, i wywróciło mu świat do góry nogami.

Wybuch tej przeklętej wojny nie obszedł go w ogóle, podobnie zresztą jak późniejsze doniesienia o tysiącach zabitych, czy pierwszych atakach nuklearnych. Te niosły za sobą już nie tysiące ofiar, ale miliony.

Tomek zazdrościł im. Za kolejny kaprys Boga uważał, że bomby omijają Polskę i że właśnie jego ten "sadysta" specjalnie trzyma przy życiu, kiedy innym daje zejść ze sceny. Tych, którzy chcieli żyć i mieli dla kogo, zabijał a tego, który wielokrotnie próbował się zabić - katuje bolesnym trwaniem. Za długo trwał już ten koniec świata. Dla tych pierwszych, rozpoczął się w grudniu dwa tysiące dwunastego, a dla Tomasza okrągłe trzy lata wcześniej.

"Na szczęście" rok później rakiety zaczęły spadać także na Polskę, lecz znów niefortunnie, nie na Trójmiasto, a jedynie na stolicę.

Tak, czy owak, śmierć się zbliżała, choć nie szybka i przyjemna - przez spalenie, ale z zatrucia radioaktywnego lub z głodu. Tomek pogodził się nawet z taką wersją i czekał, czekał, czekał...

Gdańsk zakryły opady, ludzie zaczęli ginąć i wkrótce zginęli wszyscy. Wszyscy, tylko nie on! On czuł się świetnie, fizycznie bez zmian, bez większych rokowań na szybki zgon.

Pewnego poranka, z premedytacją, zajaśniał biały pył, dusił się nim i wymiotował, a nawet się rozchorował, lecz na krótko i ciągle... żył.

Dzisiaj zakładał chusto-maskę tylko dlatego, że "śnieg" gryzł go w przełyk i nos, oraz ze względu na wszechobecny smród rozkładających się ciał. Śmierć, skosiła już chyba całe żniwo, ale do niego, jak na złość, nie chciała przyjść.

Było prawdopodobnie coś przed północą, choć równie dobrze mogła być dwudziesta druga. Nikt przecież nie nakręcał już zegarów, a przez unoszący się w atmosferze kurz, mrocznie było w sumie cały dzień. Dwie rzeczy są jednak pewne:

Było późno i była to godzina ostatnia.

Ostatni człowiek siedział właśnie na fotelu i otwierał drugą flaszkę whisky, kiedy ktoś zapukał do drzwi!

Rzucił okiem na przedpokój, a następnie spojrzął na butelkę. Stukanie ucichło, i już miał stwierdzić, że mu się wydawało, gdy trzykrotne "puk" zabrzmiało znów!

Mężczyźnie zawirowało w głowie, a serce podeszło do gardła. Teraz był już pewny, że mu się nie przesłyszało. Wstał.

Najciszej, jak potrafił, doszedł na przedpokój i stanął przed drzwiami. Przyłożył do nich ucho i wtedy ktoś walnął w drzwi tak agresywnie, że Tomasz krzyknął i odskoczył dwa kroki wstecz.

- Kto tam!? - wykrztusił po chwili.

Nie usłyszał odpowiedzi i dłuższy czas nie działo się nic. Przenikliwa cisza wiała korytarze z uszu, przez głowę, aż do basowo dudniącego serca.

- Kto tam? - powtórzył pytanie.

- Śmierć.

Tomek przełknął ślinę.

- Bez żartów, człowieku.

- Jestem poważna Tomaszu - odezwała się kobieta. - Śmiertelnie poważna - dodała.

Mężczyzna milczał, bo tysiące myśli kotłowało się w jego głowie.

- Otwórz, proszę. Czekałeś przecież na mnie.

Tomkowi drżały ręce, choć nie wiadomo do końca, czy ze strachu, czy ze złości.

- Posłuchaj paniusiu. Cieszę się, że żyjesz, bo myślałem, że zostałem sam, ale te żarty są głupie. Bardzo głupie. Nie mam nastroju na żarty.

Nie usłyszał odpowiedzi.

- Rozumiesz!?! - krzyknął.

- Mam odejść?

Tomasz pomyślał.

- Nie. Nie masz odchodzić. - W końcu od roku nie rozmawiał z człowiekiem, a ta, choć miała kretyńskie poczucie humoru, to jednak żyła. Lepsze to niż nic. - Wpuszczę cię, jak przestaniesz się wydurniać.

- Zgoda.

- Więc kim jesteś i jak masz na imię?

- Jestem posłańcem...

- Posłańcem? - Tomek zdziwił się i już przekręcał zamek. - To ktoś jeszcze żyje?

- Oczywiście.

Drzwi już były otwarte, lecz uchylone tylko na wąską szparkę. Nie było przez nią widać absolutnie nic, ale dużo lepiej było teraz słyhać.

- No dobrze. A jak masz na imię?

- Mors - odpowiedziała już w progu.

- Mors? Dziwne imię - stwierdził, cofając się włąb przedpokoju.

- To z łaciny, Tomaszu - wyjaśniła i weszła do środka, ciągnąc za sobą po ziemi przedmiot, który chwilę później błysnął nad sufitem, w bladym świetle księżycy padającym z kuchni.

- O Chryste - jęknął Tomek i plecami uderzył w drzwi ubikacji.

Śmierć majestatycznym krokiem przeszła obok chłopaka i weszła do dużego pokoju, gdzie obok butelki mrugały trzy świece. Stała tyłem w długim czarnym płaszczu, z kapturem na głowie.

Tomek stał ciągle w tym samym miejscu, sparaliżowany tak, że nawet ręce przestały mu drżeć, a i serce jakby zastygło.

Czarna postać obróciła nad swoją głową ostrze kosy, a jednocześnie odwróciła się przodem do Tomka. Na ten widok o mało nie zemdlał.

Pod kapturem nie było bowiem nic. Tylko wielka, głęboka pustka.

- Jestem nieuniknionym Tomaszu - zaczęła. - Możesz się mnie bać, to dla mnie nic nowego. Dawno przywykłam.

Ostatni człowiek skinął głową, że rozumie.

- Twój lęk jest dla mnie zrozumiały, ale niestety nie mogę cię uspokoić. Nie chcę cię oszukiwać, bo to, że mnie tu widzisz, oznacza, że dzisiaj umrzesz.

Słowa te, choć makabrycznie jednoznaczne, w jakiś dziwny sposób działały kojąco. Może to dlatego, że głos kostuchy był ciepły, wręcz melodyjny, a może...

- Chciałabym jednak najpierw z tobą porozmawiać, bo nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale jesteś ostatnim żyjącym człowiekiem na Ziemi. Ta chwila jest wyjątkowa. Jedyna w swoim rodzaju, również dla mnie. Mogłabym zabić cię we śnie, jak wielu, jednak wtedy nie dowiedziałabym się,... dlaczego.

I zamilkła.

- Dlaczego co?
  - Dlaczego Bóg zostawił cię na sam koniec, mój drogi.
  - I ja mam ci na to odpowiedzieć!? - zapytał tak bojowo, że nawet samego siebie zaskoczył.
  - Tak - potwierdziła szeptem.
  - Mógłbym zapytać cię o to samo paniusiu. - Było mu już wszystko jedno. Strach odszedł, wróciła złość.
  - Ha ha ha - Kostucha rozbawiła się. - Widzę, że się dogadamy Tomku. Może ty o tym jeszcze nie wiesz, ale ty znasz odpowiedź i my razem ją znajdziemy.
- Powiedziawszy to, położyła kosę na dywanie, wzdłuż stolika i rozsiadła się wygodnie w fotelu.

Tomek dziwnie skojarzył całą tę sytuację z wizytą księdza na kolędzie, kiedy jeszcze takich przyjmował. Jakże podobna zapanowała teraz atmosfera. Z taką myślą podszedł do fotela naprzeciwko i usiadł.

- A propos Tomku, nie nazywaj mnie paniusią, bo tyle samo we mnie z kobiety, co z mężczyzny. Głos może mylić. Wybrałam damski, myśląc, że tak będzie przyjemniej.
  - Przyjemniej? - powtórzył Tomek z drwiną w głosie.
  - Przyjemniej - potwierdziła Śmierć głębokim, męskim basem, takim że szyby zadrżały w oknach.
  - Ok. Twierdzisz, że znasz Boga? - zapytał ostatni człowiek.
  - Owszem. Znam też Szatana - potwierdziła, na szczęście na powrót damskim głosem.
  - Ok. Rozumiem. A możesz mi powiedzieć, w takim razie, czyja to sprawka?
  - Masz na myśli wojnę?
  - Tak. Właśnie wojnę.
  - Zdziwisz się, ale ani Bóg nie ma z tym wiele wspólnego, ani Szatan. To wasza wojna.
- W tym momencie Mors wstała i podeszła do okna. Otworzyła je i powiedziała:

- Spójrz, pada śnieg. A mamy lipiec. Czy to Bóg wymyślił nuklearną zimę? Ja żyję tysiące lat, Tomaszu, i wiele strasznych rzeczy widziałam. Byłam w Sumerze, w Babilonie, Egipcie, byłam przy Jezusie, Inkwizycji... Zawsze lała się krew, Tomku, ale uwierz mi, że pierwsze wojny "barbarzyńców", jak ich dziś nazywacie, bardziej przypominały bójki twoich kolegów z osiedla, niż wojny, które znasz z książek. Z pierwszych bitew dziesięć osób zabierałam ja, dwudziestu wracało z wybitymi zębami, a stu z podbitymi oczami. Ale z upływem czasu zmieniło się wszystko. Wojna twoich cywilizowanych, przecież, dziadków to morze krwi, twoich rodziców - masowa zagłada, "eksterminacja" - to też WASZE słowo. A ta wojna, cóż... trujący śnieg. Takie szaleństwo widzę po raz pierwszy. I na szczęście po raz ostatni.

- Zaraz. Ty mówisz o szaleństwie i strasznych rzeczach!? Przecież to ty zabijasz! Ty jesteś mordercą!

Śmierć odwróciła się i w tym momencie Tomek pomyślał, że za bardzo sobie folguje, aczkolwiek przecież nie kłamał.

Spod czarnego kaptura wydobył się jednak głos opanowany i spokojny:

- Nie Tomku. To również wy. Ja tylko was... dobijam.

Prawdopodobnie postać uśmiechnęła się, a nawet jeśli nie, to i tak właśnie uśmiech Tomek zobaczył oczami wyobraźni. Wzdrygnął się, zbulwersował, i już miał coś powiedzieć, ale Śmierć kontynuowała monolog:

- Widzisz, jeśli chodzi o wiek dwudziesty, to... mogę mieć do siebie pretensje...
- A jednak! - szyderczo wykrzyknął Tomek.

- ... pretensje, że nie zabiłam was wcześniej.

Teraz Tomasz czuł, że Śmierć nie uśmiecha się, ale to jeszcze gorzej dla niej. Tym bardziej chciał jej teraz wygarnąć, lecz znów mu przerwała:

- Obawiam się, że ten "śnieg" zabije wszelkie życie na tej planecie i wiele wody w rzekach upłynie, toksycznej wody, zanim znów się zazieleni.

Ten argument był mocny, zwłaszcza dziś, kiedy stracił najlepszego przyjaciela. Na dłuższą chwilę ostudziło to jego wzburzony umysł, ale i tak w końcu wybuchnął:

- A Kasia!? A Monika!? - krzyknął. - Co one ci zrobiły!?

- Twoja żona i córka tak? - zapytała i znów odwróciła się do okna.

- Tak! Tak! Skurwysynu!

Śmierć stała tyłem do człowieka i milczała, gdy on sięgnął po kosę.

- Tomaszu - odezwała się wreszcie. - I właśnie tu mamy odpowiedź na nasze pytanie.

- Nie obchodzi mnie odpowiedź na twoje pytania!

Stał już na środku pokoju i oburącz trzymał złowrogo połyskujące ostrze.

Podszedł jeszcze bliżej, na odległość, z której z łatwością mógł zadać śmiertelny cios. Z otwartego okna powiewał lekki wiatr, który już aż na piąte piętro przynosił smród, który przy ziemi był niemal fizycznie gęsty - odór padliny.

Jej wydawał się on nie przeszkadzać. Pewnie przywykła do niego tak samo, jak do tego, że jej wszyscy nienawidzą.

Stała zamyślona, z głową uniesioną ku niebu, na którym w tak pogodną i upalną noc, z całą pewnością, byłyby gwiazdy, gdyby nie padał gęsty "śnieg".

Zdawała się nie wyczuwać zagrożenia.

"Chyba jest głucha" - pomyślał Tomasz. - "A może chce umrzeć?"

Ta myśl sprawiła, że pomimo targających nim emocji, zwolnił uchwyt i opuścił nieco kosę. Jakoś nie potrafił teraz dźgnąć kreatury, mimo że to ona zabrała mu wszystko, co miał i kochał.

- Odwróć się - krzyknął, bo już był pewny, że nie potrafi zadać ciosu w plecy.

Śmierć opuściła głowę i stanęła przodem do napastnika.

Dłuższą chwilę stali bez ruchu. On - ostatni człowiek i pradawna Śmierć. Była teraz w jego rękach. Gdyby widział jej oczy, gdyby wiedział o czym myśli, gdyby chociaż mówiła coś... Chociaż jedno głupie słowo...

- Nie kochałeś jej - powiedziała głośno, męskim głosem z samego dna piekieł. Powiedziała w nieodpowiednim momencie.

- O ty kurwo! - krzyknął Tomasz, zamachnął się i z całej siły pociągnął ostrzem, z idealną precyzją, wprost na kaptur.

Oślupiał z przerażenia, kiedy kosa, bez napotkania oporu, zatoczyła cały łuk i z impetem wbiła się w mur, jak w masło, sypiąc przy tym iskrami. Nie trafił! Widział to jakby w zwolnionym tempie, jak czarna szata opadła na dywan bezwładnie, tuż przed zetknięciem z klingą.

Teraz płaszcz leżał na ziemi jak szmata i wróżył kłopoty.

Tomek rozejrzał się nerwowo po pokoju, pomimo że nie miało to większego sensu i zdawał sobie z tego

sprawę.

Postanowił wyciągnąć z muru ostrze, którego prawie połowa musiała znajdować się w sąsiednim pokoju. O dziwo udało się po pierwszym szarpnięciu.

Stanął w kącie, chwycił broń mocno, oburącz i wolnymi ruchami zataczał półkola, od ściany do okna, na wysokości kolan.

Znów było przeraźliwie cicho, zwłaszcza kiedy raz na jakiś czas wstrzymywał oddech. Wtedy hałasować zdawały się jedynie ogniste jęczyczki świec.

- Nie - usłyszał szept z prawej.

- Nie. - Szept do lewego ucha.

- Nie. - Z góry.

- Nie... nie... nie... nie...

Z wszystkich stron!

Tomek kręcił głową we wszystkie strony i wymachiwał kosą, na oślep, chodził po całym pokoju i ciął powietrze. Zziajał się szybko i spocił, ciężko dyszał, bo płuca nie wydobrały jeszcze do końca po radioaktywnych inhalacjach. Wreszcie opuścił broń i splunął gęstą krwią.

- Mów! Mów, dlaczego! - zacharczał.

- Miałeś kochankę. Beata z Żukowa. - odezwała się śmierć. - Kasia wiedziała o niej. Wiedziała, ale nie powiedziała ci.

- Zamilcz! Nie o to pytam! - I uniósł kosę pod sam sufit.

- Ha ha ha ha - Męski śmiech wypełnił mieszkanie po brzegi, a następnie obił się echem od bloku do bloku, po całym osiedlu. - Czy ty myślisz, że możesz mi zrobić krzywdę tym... kawałkiem złomu!? Człowieku! To tylko rekwizyt. Ostry i groźny, możesz się skaleczyć, ale nie mnie.

Zresztą wzięłam ją tylko dla ozdoby, jak strażak orderę - na specjalną okazję. A płaszcz? To samo. Średniowieczna literatura... Myślę, że wiesz o czym mówię.

Tomasz ciągle trzymał kosę wysoko, choć wywód wydawał się logiczny, a poza tym Śmierć nie okłamała go dziś ani razu.

- Nikt jeszcze nie zginął od tego ostrza, Tomku. - Tym razem odezwała się kobieta. - I nikt od niego nie zginie.

W tym momencie jakaś potężna siła rzuciła go na ścianę i bolesny skurcz ścisnął gardło. To zimna ręka Śmierci zacisnęła na gardle szpony i przycisnęła go do muru. Kosa wypadła mu z rąk.

- A teraz będzie spowiedź! - Piekielny głos rozbrzmiał jakby w samym centrum Tomka głowy.

- Byłem samolubną kanalią! Zdradzałem żonę! Chryste! Pobiłem ją... Dwa razy. A Monika... nigdy nie miała ojca. Od początku była ciężarem!

Choć nie był to głos Tomka, to były to jego myśli - co do joty.

Uścisk zniknął, a Tomek runął na ziemię. Pociągnął powietrze ze świstem, po czym stoczył długą walkę o tlen, niczym ryba wyrzucona na piasek.

- Ko... Koch...

- Słucham?

- Kocham je - wydusił wreszcie Tomasz ze łzami w oczach. Przyłożył czoło do podłogi, załkał i zadrżał spazmatycznie.

- Teraz jesteś gotowy, przyjacielu - oznajmiła Śmierć ciepłym, męskim głosem.

Lekkim powiewem tchnęła swego ducha i nakryła płaszczem mężczyznę - aktora ostatniego dramatu.

\*\*\*

Na niewielkiej, soczystej zielonej polanie, wśród kwiecia wszelkich gatunków leżał młody, przystojny mężczyzna. Spał snem twardym i zdrowym, kojony przez szum strumyka i cichutkie ćwierkania polnych koników.

Byłby tak spał jeszcze długo, gdyby nie... pies.

Mały, czarno-biały buldożek francuski, biegał dookoła swojego pana, powarkiwał i wiercił radośnie kuperkiem razem z namiastką ogona. Zniecierpliwiony psiak czuł, że pan się zaczyna wybudzać, więc po każdym kolejnym okrążeniu, przysiadł na moment przy twarzy mężczyzny i lizał go po policzku.

- Toffi! Nie rób! Eee - odezwał się wreszcie młodzieniec, choć jeszcze nie otwierał oczu i, z konieczności, zakrywał je ręką, bo słońce było już w zenicie i raziło niemiłosiernie.

Pies szczeknął i znów zaatakował.

- Eee, Toffi! Przestań!

Nigdy nie lubił psich pocałunków.

Pies ani myślał się teraz poddać, więc mężczyzna musiał się podporządkować.

Uniósł głowę. Pies znowu liznął i tym razem w same usta, co przyspieszyło wstawanie zdecydowanie. W jednej chwili, niczym sprężynka zerwał się z trawy i usiadł.

- Kim jesteście? - zagadnął zachrypniętym głosem do stojącej przed nim pary.

Odkaszlnął i ustawił ostrość.

- Witaj Tomku - odezwał się mężczyzna, którego Tomasz widział pierwszy raz w życiu na oczy.

- Witaj stary. Ty, co to w ogóle jest? Biwak jakiś? Ale jazda! Ja nic nie pamiętam. - stwierdził Tomek, rozglądając się dookoła.

Dziewczyna w białej sukience zaśmiała się i zakryła usta ręką.

- Chryste, ale ja miałem porąbany sen!

Tym razem zaśmiał się facet. Dziwnie wyglądała ta para. Oboje ubrani na białą.

On - jakiś śniady obcokrajowiec, z falującymi, długimi niemal do ramion włosami. Oczy... lazurowe - zdecydowanie niepasujące do domniemanej narodowości. W sandałach, bawełnianych spodniach i rozpiętej koszuli.

Ona - piękna! Twarz anioła, figura niczego sobie, tylko cycki troszkę za małe.

- Ej. Czy my się znamy? - zagadnął, kiedy już zmierzył parę od stóp do głów.

- Od kołyski, bracie - oznajmił mężczyzna.
- Do grobowej deski - dodała dziewczyna.

Tomek strapił się, bo w tak głupiej sytuacji nie był nigdy. No z jednym wyjątkiem - kiedy po sylwestrze, bodajże dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy obudził się w nieswoim łóżku, w nieznanym mieście.

- Dobrze, mili państwo, bez jaj. O co tu chodzi i gdzie ja, do diaska, jestem!?
- Mam na imię Jozue - przedstawił się mężczyzna i wyciągnął do Tomka rękę. Potwierdziło się przypuszczenie, że obcokrajowiec.

Tomek postanowił być kulturalny i zanim podał dłoń - wstał.  
- Tomek jestem. - Uśmiechnął się i po męsku "przybił piątkę".

Teraz wypadało zapoznać się z piękną panią, lecz nim to uczynił, zadziwił go pewien szczegół, a mianowicie: jego ciuchy.

- Ej. To wyście mnie przebrali? - spoglądał to na nich, to na nieswoje beżowe spodnie.
- Heh - Rozweselił się Jozue. - W rzeczy samej. A jeśli chodzi o szczegóły, to Mors to zrobiła. - Uśmiechnął się i skinął ręką na partnerkę.
- Co!?
- Tomasz aż podskoczył i spojrzał na kobietę.
- No co? Wolałbyś nago paradować? - zapytała z rozbijającym uśmiechem.
- Poczekaj. To my coś razem...
- Ech, nic z tych rzeczy, mój drogi. Ubrałam cię i tyle. I naprawdę nie masz się czego wstydić.

Tomek zrozumiał to wyznanie raczej nie tak jak trzeba i bardzo mile go to polechtało, choć dziwiła go jego własna reakcja, bo z natury był zdecydowanie wstydlivy, a teraz nie znajdował w sobie ani grama tego uczucia.

- Acha, więc nieoficjalnie, to znamy się już całkiem blisko - skomentował zaistniałą sytuację żartobliwie.
- Zgadza się. - I znów zaśmiała się.
- Oficjalnie jestem Tomek - Sięgnął po zgrabną dłoń i pochylił się, by ucałować jak gentleman - damę.
- Mors. Bardzo mi miło.

"Mors!?" - zadudniło mu w głowie słowo, którego przed chwilą zwyczajnie nie dosłyszał. Pochylony jeszcze, podniósł oczy do góry, na dekolt nowej(?) znajomej, gdzie razem ze srebrnym kółkiem na łańcuszku, bujała się... mała kosa.

Tomek odskoczył, jak oparzony, dwa kroki w tył, o mało nie rozdeptując przy okazji Toffiego. Zaświtła mu w głowie absurdalna, jak mu się zdawało w tamtej chwili, myśl, a mianowicie, że umarł! Że ten koszmar, nie był snem, a przed nim właśnie stoi jego kat, i to we własnej osobie. Wytrzeszczał oczy i miały nim przeróżne uczucia. Nie było jednak między nimi lęku, który powinien przecież dominować przy spotkaniu z duchami. To dziwiło go najbardziej.

Rozejrzał się dookoła i zwrócił się do mężczyzny:

- Czy ja nie żyję?
- I tak i nie. Ale ty pytasz, czy kiedyś umarłeś. Odpowiedź brzmi: tak.



Tomek zachwiał się na nogach.

Kiedy doszedł wreszcie do siebie, zapytał:

- Czy to... - Zatoczył ręką niemal pełny okrąg, wskazując na polanę. - Czy to jest Niebo?
- Nie Tomaszu. To jest Ziemia. Nowa Ziemia, czy jak wolisz: Raj.
- Ale przecież... przecież wojna, bombardowania, zabici, pył... Gdzie on?

- Minęło sporo czasu. W sumie więcej niż możesz sobie wyobrazić. Nie znajdziesz nawet śladu po wojnie. A ludzie, których widzisz, nie pamiętają już nawet o niej. Ty także zapomnisz.

Tomek słuchał z otwartymi ustami, a kiedy jak błyskawica z jasnego nieba, spadła na niego myśl, że Jesue to JEZUS, że rozmawia z samym Chrystusem, mimowolnie usiadł na trawie.

Jezus kontynuował:

- Nie odczułeś dziś wstydu ani strachu, prawda?

Mężczyzna skinął głową twierdząco.

- Więc uwierz mi, że jutro rano, nie znajdziesz w głowie ani jednego złego wspomnienia.

- R...Ro... Rozumiem.

Śmierć znów zakryła dłonią usta, czego Tomek, i tak nie zauważył, bo układał w głowie pytanie:

- Mam pytanie.

- A ja mam nadzieję, że masz więcej pytań - zawiadomił Jezus. - Powinieneś pytać dziś, bo jutro wielu rzeczy możesz nie zrozumieć.

- Dlaczego ja jestem w Raju?

Jozue uśmiechnął się, a Tomek kontynuował:

- Przecież... jestem zły. Przecież zdradzałem Kasię, biłem ją, piłem... - W oczach stanęły mu łzy. - Znienawidziłem Boga i Ciebie też, kiedy... no, po wypadku...

- Tomaszu, wierzyłeś we mnie. Modliłeś się i pamiętam każde twoje słowo.

Odwrócił na moment głowę do Śmierci.

- Może dlatego, że nie modlił się zbyt często. - I puścił do niej oczko, co skwitowała skinieniem głowy i uśmiechem.

Potem znów Jezus spojrzał na Tomka i dodał:

- Jak mógłbym ci nie uwierzyć, skoro mówiłeś do mnie tak, jak mówi się do przyjaciela? Żywego przyjaciela.

Po policzku Tomasza poleciała wielka łza.

Była to ostatnia łza, jaką widziano w Raju.

Chwilę później Tomek stał już pewnie na nogach.

- Wiesz co Josue?

- Hmm?

- Sorry, ale nie wyglądasz, jak Jezus.

Cała trójka spojrzała na siebie.

- Litości! - krzyknęła Mors. - A co powiesz o mnie!?! Pewnie wyglądam jak śmierć!?

- Ech, nie, nie. Ale ciebie, to praktycznie nie znam, a Jezus wiadomo: przebite dłonie, stopy, korona

cierniowa... No wiecie... obraz rozpaczy. Więc co z tą koroną z cierniami, hm?

- Koroną z cierniami? - zapytał Jezus. - A co to są te... ciernie?

I cała trójka wybuchnęła śmiechem tak gromkim, że aż Toffi się zakłopotał.

Kiedy wreszcie opanowali się, Tomek postanowił zadać jeszcze jedno, najważniejsze i najtrudniejsze pytanie:

- Jezu. A co z Kasią i Moniczką?

- Już się bałem, że nie zapytasz.

- Więc?

- Widzisz ten czerwony dach za drzewami?

- Yhy. - Już płonęły iskry w jego oczach.

- Tam je znajdziesz. Czekają na ciebie od rana, więc się pośpiesz.

To, co poczuł w tym momencie Tomek, przekracza ziemskie pojmowanie. Żaden wierszokleta przez całe trzy millenia nie opisał tego, jak należy, więc ja - marny gryzpiórek, nie będę nawet próbował.

I na tym zakończę.

P.S.

Tomek nie dotarł do domu, tak szybko, jak chciał, bo w biegu zatrzymała go Śmierć.

- Przepraszam Tomek, ale musiałam.

- ???

- Jutro byś nie zrozumiał.

- Tak? - zapytał zdrowo zdyszany.

- Czy wiesz już: DLACZEGO?

- Ale dlaczego co?

- Dlaczego byłeś ostatni.

- Nie.

- Musiałeś pokochać naprawdę. Tylko taka miłość jest przepustką.

- O\_o

AMEN

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

valdens, dodano 04.12.2007 15:52

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).